

## Z ODDALI I Z BLISKA<sup>1</sup>

Z PROF. TERESĄ KOSTKIEWICZOWĄ  
ROZMAWIA MAGDALENA ABRAMCZYK

TERESA KOSTKIEWICZOWA – literaturoznawczyni, profesor nauk humanistycznych, nauczycielka akademicka. W 1956 roku ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1956-1971 była zatrudniona w Katedrze Teorii Literatury UW. Następnie, aż do emerytury w 2006 roku, związała się z Instytutem Badań Literackich PAN w Warszawie, gdzie kierowała Pracownią Literatury Oświecenia. Profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie oraz członkini m.in. Polskiej Akademii Umiejętności, Rady Naukowej Instytutu Badań Literackich PAN oraz Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Była również przewodniczącą Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, a od 1984 roku przez ponad dwadzieścia pięć lat przewodniczyła Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego. Jedną z największych badaczek polskiego oświecenia, autorka wielu artykułów oraz książek, w tym m.in.: *Model liryki sentymentalnej w twórczości Franciszka Karpińskiego* (1964), *Kniaźnin jako poeta liryczny* (1971), *Klasycyzm – sentymentalizm – rokoko. Szkice o prądach literackich polskiego Oświecenia* (1975), *Horyzonty wyobraźni. O języku poezji czasów Oświecenia* (1984), *Oświecenie. Próg naszej współczesności* (1994), *Z oddali i z bliska. Studia o wieku Oświecenia* (2010). Wielokrotnie wyróżniana za



Prof. Teresa Kostkiewiczowa (fot. z archiwum prywatnego)

<sup>1</sup> Pod tym samym tytułem w 2010 roku w Warszawie ukazała się książka Pani Profesor: *Z oddali i z bliska. Studia o wieku Oświecenia*.

swoją pracę m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, nadawanym za wybitne osiągnięcia w pracy naukowo-badawczej w dziedzinie historii literatury, oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Otrzymała również tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

**Magdalena Abramczyk: Pani Profesor, bardzo dziękuję za zgodę na spotkanie i udzielenie krótkiego wywiadu. Okazją do rozmowy jest bardzo piękny jubileusz, który Pani Profesor obchodzi w tym roku [wywiad przeprowadzono w 2016 roku – przyp. red.]. I chyba nie da uciec się od tego utartego wyrażenia, że to dobry moment do podsumowań i spojrzenia na wiele kwestii z pewnego dystansu. Zacznę więc może od początku. A właściwie od pytania o początki drogi naukowej Pani Profesor. Kiedy pojawiła się pasja do literatury i to zacięcie teoretyczne? Co zdecydowało o wyborze właśnie takiej drogi zawodowej?**

**Teresa Kostkiewiczowa:** Źródła mojej drogi naukowej sięgają właściwie dzieciństwa. Bardzo wcześnie zainteresowały mnie książki i ich czytanie, a potem pojawiła się potrzeba mówienia o nich, komentowania ich i dzielenia się z innymi tym, co wiązało się z lekturą. Na zadawane mi stereotypowe pytanie: kim chciałabym być, jak dorosnąć?, odpowiadałam konsekwentnie: nauczycielką. Duże znaczenie miała zapewne moja pierwsza lektura *Pana Tadeusza*, którego egzemplarz kupił mi mój tata na ulicznym straganie w Warszawie, chyba latem 1946 roku. Było to najpewniej pierwsze powojenne wydanie poematu, na szorstkim, szarym, prawie pakowym papierze. Po powrocie do domu z fascynacją czytałam utwór (najczęściej – siedząc na dużym drzewie wiśniowym rosnącym przy naszym ówczesnym domu, żeby mi nikt nie przeszkadzał). Niewiele zapewne rozumiałam, ale byłam zafascynowana tokiem wiersza, jego brzmieniem, obrazami, które rysowały się w mojej wyobraźni. Niestety, ten tak ważny (chyba również z powodu edytorskiej historii utworu) egzemplarz nie zachował się; dostałam później od rodziców piękne pierwsze cztery tomy zbiorowego wydania sejmowego dzieł Mickiewicza (mam je do dziś), dzięki czemu mogłam wczytywać się w poetę.

Istotny wpływ na rozwój moich pasji i zainteresowań miał później nauczyciel języka polskiego, który był studentem Uniwersytetu Mikołaja

Kopernika w Toruniu i na trzy dni w tygodniu przyjeżdżał do małego prowincjonalnego miasteczka, by uczyć w szkole. Wykładowcami UMK byli wtedy między innymi tacy wybitni badacze, jak Konrad Górski, Artur Hutnikiewicz czy Czesław Zgorzelski. Otóż nasz nauczyciel robił wykłady na podstawie notatek z zajęć odbytych na uniwersytecie, i to było fascynujące. Jeszcze jako studentka polonistyki, przygotowując referaty, niekiedy korzystałam z zeszytów szkolnych.

Moje studia polonistyczne były okresem raczej trudnym ze względu na wszechobecną indoktrynację ideologiczną i całkowite zdominowanie przez nią wszystkich przedmiotów. Na Wydziale działało jednak – pewnie dzięki jakiemś niedopatrzeniu władz – niezależne koło naukowe prowadzone przez Janusza Pelca, późniejszego wybitnego badacza kultury staropolskiej, profesora UW i IBL. Tam poznałam rudymenty pracy badawczej i utwierdziłam się w swoim zainteresowaniu literaturą dawną. Kolejny etap to już – nawiązany właśnie dzięki Januszowi Pelcowi – kontakt z profesorem Kazimierzem Budzykiem. To właśnie on rozbudził w gronie skupionych wokół siebie studentów (a potem już asystentów) zainteresowanie metodologią badań literackich i teorią literatury, pokierował zdobywaniem podstawowej wiedzy w tej dziedzinie, a później postawił przed młodymi, uczącymi się dopiero badaczami ambitne zadanie wypracowania podstaw teorii literatury jako obiektu działań badawczych i przedmiotu nauczania uniwersyteckiego – wcześniej teoria literatury nie była wykładana na polonistyce, dopiero po zorganizowaniu przez profesora Budzyka pierwszej uniwersyteckiej Katedry Teorii Literatury na UW zaczęła wkraczać do sal wykładowych na filologii.

Dzięki udziałowi w tych pracach zdałam sobie sprawę, że refleksja teoretyczna jest niezbędnym elementem pracy badacza literatury, ale ciągle bliska mi była literatura dawna, jej poznawanie i historia. Mniej pociągała mnie uogólniająca refleksja teoretyczna, bardziej – stosowanie podejścia teoretycznego dla rozpoznawania zjawisk historycznych. Dlatego – przy akceptacji i wsparciu promotora – podjęłam w doktoracie temat dotyczący oświecenia i kształtujących się w tej epoce form wypowiedzi poetyckiej, co skądinąd wpisywało się w sformułowany przez profesora Budzyka projekt badawczy dziejów literackich form artystycznych w piśmiennictwie polskim. I tak już pozostało na wiele lat. Jednak łączenie tych dwóch wyraźnie wyodrębnianych obszarów badawczych – historii i teorii literatury – nie zawsze

było oczywiste, dlatego ciągle sytuowałam się niejako na pograniczu mojego środowiska. Przez wiele lat ci moi koledzy, którzy byli „rasowymi” historykami literatury XVIII wieku, uważali mnie za teoretyka (co wiązało się z pewną podejrzliwością wobec kompetencji erudycyjnych, źródłowych, historycznych), z kolei ci uprawiający „ściśłą” teorię literatury – za historyka literatury. Nie przeszkadzało mi to jednak w uprawianiu nauki o literaturze w sposób mi najbliższy i – jak mi się wydawało – poznawczo ważny.

**M.A.: Pamiętam, jak niedawno przysłuchiwałam się rozmowie Pani Profesor, prof. Małgorzaty Czerwińskiej oraz dr Marii Napiontkowej na temat... przyborów do pisania: ołówków, wiecznych piór, długopisów i w końcu klawiatury komputera. Ta z pozoru niewinna rozmowa dowodziła jednak zupełnie innych metod, innych nawyków przyswajania wiedzy, innego w końcu warsztatu pracy naukowej, niż możemy obecnie obserwować wśród młodego pokolenia ludzi nauki. Czy od czasów, kiedy Pani Profesor stawiała pierwsze kroki na drodze badacza literatury, wiele zmieniło się w podejściu (młodych) ludzi do uprawiania naukowej refleksji nad literaturą? Czy może nadal widać jakieś podobieństwa?**

**T.K.:** Sprawa narzędzi pisarskich to rzeczywiście interesujący temat refleksji. W powojennej szkole (po etapie ołówka, przez który przechodziłam jednak w czasie okupacji, ucząc się w domu) pisało się obsadką ze stalówką, moczona w kałamarzu umieszczonym w otworze ławki. Problemem były ciągle pojawiające się kleksy – czy słowo to jest jeszcze znane dzisiejszym dzieciom? Po ukończeniu szkoły dostałam od rodziców wieczne pióro – watermana kupionego za spore pieniądze od sąsiadów dostających paczki od rodziny z USA. Długopis był przez długi czas dobrem pożądanym, ale nie zawsze dostępnym, powszechnie używało się zapasowych wkładów. Jeszcze w latach 70. nie było u nas popularnych bicków, przywożono je z zagranicy jako cenne upominki. Ale ja zawsze wolałam wieczne pióro atramentowe; pisałam nim do momentu, kiedy zdecydowałam się na zaprzyjaźnienie z komputerem. Nigdy nie nauczyłam się dobrze pisać na maszynie, przez kilkanaście lat moje rękopisy były przepisywane przez mojego męża, a potem przez panią, która zajmowała się tym zarobkowo. Bardzo długo broniłam się przed przejściem na komputer, wydawało mi się zupełnie niemożliwe jednoczesne myślenie o tym, co chcę napisać, i wykonywanie technicznych czynności na klawiaturze, zwłaszcza że nigdy nie pisałam na maszynie. Widziałam to jako

wielki, trudny do wykonania skok technologiczny. Ale wiedziałam też, że w dzisiejszym świecie komputer staje się koniecznością, i... przełamalam się. Bardzo się z tego cieszę, bo ułatwienia i pożytki są ogromne.

Ta opowieść jest nie tylko autobiograficznym wspomnieniem. Pokazuje ona, że w ciągu mojego życia dokonało się wręcz kilka rewolucji w technice utrwalania pisma i organizowania warsztatu badawczego. Jest to sprawa tylko pozornie odległa od pytania, które Pani postawiła. Badacze już dawno stwierdzili, że typ narzędzia przekazu wpływa na sposób budowania komunikatu. Jakie są konsekwencje wszystkich tych zmian w sposobie uprawiania badań literackich dzisiaj? Jedno nie zmieniło się na pewno. Aby je podjąć i poważnie prowadzić, potrzebna jest pasja, szczególne zainteresowanie, a także przekonanie – czasem tylko czysto intuicyjne – o społecznej potrzebie i wartości tego typu działalności. To podstawowy warunek wykonywania pracy, która wymaga wielu wysiłków, determinacji, a nawet poświęceń i rezygnacji z różnych codziennych przyjemności (nie pójdę do kina, na koncert, spacer, do przyjaciół, bo muszę – bo chcę – skończyć czytanie tej książki, skoncentrować się na przemyśleniu do końca tego problemu, skończyć pisanie tego tekstu...).

Dziś jednak, dzięki narzędziom elektronicznym i umożliwionej dzięki nim łączności ze światem zewnętrznym, w pracy badawczej jest wiele udogodnień, które młodzi użytkownicy sieci traktują jako coś normalnego i oczywistego. Ale kiedy za pomocą jednego kliknięcia myszki wysyłam mail z pilną wiadomością albo gotowy tekst do czasopisma czy wydawnictwa, czasem myślę sobie, ile materiałów, zabiegów, kosztów i – co najważniejsze – czasu wymagało to jeszcze kilkanaście lat temu. Młodszy nie zawsze są świadomi tej rewolucyjnej zmiany. Internet otwiera szerokie możliwości dostępu do książek znajdujących się na drugiej półkuli, pozwala z domu zamawiać publikacje w wydawnictwach, a nawet w bibliotekach, prowadzić konsultacje, wykłady na odległość – współcześni internauci doskonale znają to wszystko. Można łatwo przenieść na swój dysk publikacje z zasobów archiwów i bibliotek, operować nimi bez odejścia od komputera, ściągając i zapisywać materiały z czasopism *online*, czytać je przy swoim biurku, znajdować najnowszą literaturę przedmiotu, wystukując odpowiednie hasło. W mojej młodości były to rzeczy sytuujące się w sferze *science fiction*.

Zapis komputerowy daje też możliwość kształtowania tekstu „na gorąco”, bez utrwalania, przekreślania, zamazywania jego kolejnych wersji i etapów

powstawania. Badaczom współczesnej poezji trudno więc będzie śledzić warianty i redakcje utworów (chyba że poeta – jak na przykład Różewicz – pisze piórem i świadomie traktuje własne rękopisy jako dokument procesu twórczego). Ale i formułowanie tekstu badawczego przebiega inaczej. Zabiegi typu „wytnij” – „wklej”, „kopiuj” – „wstaw” z jednej strony niesłuchanie ułatwiają komponowanie wypowiedzi, ale ta łatwość może też prowadzić do pewnej „rozrzutności” cytowań, odwołań, co czasem powoduje niepotrzebną rozwlekłość, zbyteczne dywagacje, brak zwięzłości i koherencji wywodu. Niejednokrotnie obserwuję, na przykład redagując artykuły nadsyłane do redakcji „Wieku Oświecenia”, że łatwość zapisu komputerowego prowadzi do pewnej niestaranności formy, bo zbytne poleganie na funkcji automatycznej korekty zapisu przez system sprawia, że – niestety – występują błędy literowe i inne, których wykrycie wykracza poza możliwości tego systemu, albo też wprowadza on automatyczne błędne poprawki, które pozostają w tekście, bo najczęściej nie jest on po ukończeniu czytany i poprawiany, skoro mamy zaufanie do możliwości elektronicznego narzędzia.

Łatwiejsza dostępność do literatury przedmiotu niekiedy, paradoksalnie, wręcz osłabia zainteresowanie nią, wywołuje lekceważenie i pomijanie badawczego dorobku poprzedników, a czasem też „wyważanie otwartych drzwi” z powodu jego nieznamomości. Jest to spowodowane między innymi charakterystyczną dla późnej nowoczesności postawą absolutyzowania nowości, lekceważącego traktowania tego, co rzekomo „przestarzałe”, nieaktualne i niepotrzebne. Tymczasem badania literackie – podobnie jak sama literatura – mają charakter kumulacyjny, składają się na pewną całość minionego i obecnego, a od dawnych mistrzów humanistyki można się wiele nauczyć również w zakresie sposobów uprawiania nauki. Występuje też nieustanne poszukiwanie nowych metodologii, ciągłe ogłaszanie „zwrotów”, „przełomów”, nie zawsze prowadzące do odsłaniania ważnej problematyki. Publikacje literaturoznawcze miewają niekiedy charakter nie tyle badawczy i odkrywczy, ile niejako „pretekstowy”, nie są dostatecznie zakorzenione w materiale źródłowym, który w wywodzie przestaje być głównym przedmiotem uwagi. Stają się wówczas nie tyle eksploracją problemu, ile swobodną refleksją autora, snutą wokół jakichś interesujących go spraw. Nie odnoszę się tu do kwestii stylistycznego, bardziej swobodnego czy eseistycznego ukształtowania wywodu badawczego – jego efektywność i językowa uroda są bardzo ważne i mogą przyczynić się między innymi do zainteresowania

literaturą osób niezwiązanych profesjonalnie z badaniami literackimi. Chodzi mi o niezbędność jasnego formułowania przedmiotu i celów badawczych, o precyzję wypowiedzi i jej intersubiektywną weryfikowalność przez odniesienie do badanego tekstu czy zjawiska. Nie chcę też negocjować niezbędności poszukiwania nowych dróg i metod badawczych, wszystko to jest potrzebne i ważne dla rozwoju dyscypliny. Trzeba jednak w tych poszukiwaniach zawsze pamiętać, że uprawia się filologię – dyscyplinę o długiej i szacownej tradycji, w której najważniejszy jest tekst źródłowy, jego język, kształt i przekaz, a także historyczna wiedza o jego macierzystym kontekście filozoficzno-estetycznym, światopoglądowym, społecznym. W tej perspektywie bardzo cieszy wzrastające w ostatnich czasach zainteresowanie badaniami tekstologicznymi, edytorstwem, poszukiwaniem i (cyfrowym) zabezpieczaniem materiałów źródłowych. A jest to przecież wracanie do źródeł, do początków dyscypliny ukształtowanej później jako filologia. Warto o tych źródłach pamiętać.

W dzisiejszych czasach zmienił się też charakter i jakość życia naukowego. Dla przykładu, w IBL koniec szóstej dekady i lata 70. ubiegłego stulecia były czasem bujnego rozwoju tego życia i realizacji dużych zbiorowych przedsięwzięć badawczych. Odbywały się fundamentalne dla rozwoju dyscypliny konferencje naukowe, np. o teorii procesu historycznoliterackiego, o problematyce gatunków literackich, o komunikacji literackiej, socjologii literatury, i wiele innych, inspirujących i otwierających nowe obszary badawcze. Skupiały one licznych badaczy ze wszystkich ośrodków akademickich. Propozycje tematów i kandydatury referentów były starannie przemyślane przez organizatorów, ale objętość wystąpień nie była ogólnie określona, a regulowana potrzebą. Zawsze jednak przewidziany był też czas na długie nawet dyskusje, które były równie ważne jak wystąpienia referentów. Dawały one możliwość wymiany myśli, omawiania kontrowersji i prowadzenia sporów, a także nawiązywania kontaktów i planowania wspólnych przedsięwzięć przez ludzi autentycznie zainteresowanych jakąś problematyką.

Od momentu zdominowania życia naukowego przez system grantowy i parametryzacyjny zmienił się charakter takich spotkań. Jest ich nieporównywalnie więcej, bo każda placówka naukowa chce za ich organizację zdobyć punkty do oceny parametrycznej, każdy badacz także ma szansę uzyskać za wystąpienie z referatem cenne punkty, niezależnie od jego jakości i znaczenia. Organizuje się więc często konferencje poświęcone sprawom



mało istotnym albo wręcz marginalnym, wymyśla się tematy przyciągające efektywnością i oryginalnością sformułowań tytułowych, uczestniczy w nich wielka liczba zgłaszających się bez ograniczeń referentów, ale ich wystąpienia mogą trwać zaledwie kilkanaście minut, a na dyskusję pozostaje czasu bardzo mało albo wręcz nie ma go wcale. Referenci wygłaszają swoje teksty i, zadowoleni z punktowej zdobyczy, wracają do domu, często nie zamieniawszy z nikim jednego zdania. Wbrew pozorom, skutkuje to atomizacją życia naukowego, a nawet jego marginalizacją.

Również system grantowy nie zawsze spełnia swą założoną rolę motoru rozwojowego badań. Nierzadko uczestniczące w nim osoby, pracujące nad tym samym obszarem problemowym, nie pozostają w autentycznym intelektualnym kontakcie, a ich rola ogranicza się do przygotowania i złożenia tekstu. Zadanie zostaje wykonane, ale nie służy to tworzeniu autentycznego zespołu badawczego, inspiracji i wymianie myśli. Co więcej, młode osoby, które nie znają nieodległych dziejów dyscypliny, uważają, że tak właśnie być powinno, że jest to sytuacja optymalna. Tak więc, rzeczywiście, wiele się zmieniło w nauce od czasu, kiedy rozpoczęła się moja droga akademicka.

**M.A.: Ważną potrzebą każdego człowieka jest – a przynajmniej powinno być – znalezienie swojego nauczyciela, mistrza. Celowo staram się nie używać słowa „autorytet”, dosyć obecnie „podejrzanego”, szczególnie gdy idzie o powtarzane do znudzenia frazy o współczesnym „upadku wszelkich autorytetów”. Kto dla Pani Profesor był takim mentorem?**

T.K.: Myślę, że na przebiegu mojej drogi naukowej zaważyło spotkanie kilku ważnych dla mnie uczonych. Pierwszy – to wspomniany już profesor Kazimierz Budzyk, dzięki któremu kształtowały się moje zainteresowania teoretycznoliterackie. To on zarysował perspektywy badawcze w tej dziedzinie, a także, co bardzo ważne, wprowadził mnie w tryb pracy zespołowej, poddawania własnych prac dyskusji w zespole, przyjmowania konstruktywnej krytyki, prowadzącej do doskonalenia pracy i sposobów myślenia. Drugim ważnym wzorem i nauczycielem był dla mnie profesor Czesław Zgorzelski, w tym czasie pracownik Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Na jego publikacje zwrócił mi uwagę mój promotor, bo wyrastały one z tej samej tradycji rosyjskiej szkoły formalnej i strukturalnej, na której ukształtowany został w czasach przed drugą wojną światową Kazimierz Budzyk. Książki Zgorzelskiego uczyły mnie tego, co było mi



najbardziej potrzebne – stosowania instrumentarium teorii literatury do pracy historycznoliterackiej, a nade wszystko pozostawania zawsze blisko tekstu literackiego, traktowanego z wielką uwagą i szacunkiem. Były wzorem wnikliwego czytania, analizowania i interpretacji dzieła zorientowanej na poszukiwanie jego sensów, a także pisania o tym językiem jasnym, precyzyjnym, a zarazem stosownym wobec estetycznej natury dzieła literackiego. Pięknie skomponowane i elegancko napisane publikacje o poezji romantycznej, Mickiewiczu, Słowackim, Norwidzie, ale także o poetach XVIII wieku, były wzorem i wyzwaniem. Wkrótce też nawiązałam bezpośrednie kontakty z profesorem, który zapraszał mnie na spotkania naukowe swojej Katedry, życzliwie towarzyszył swymi radami i dyskusjami mojej pracy. Stał się dla mnie nie tylko mistrzem naukowym, ale też autorytetem życiowym, mądrym w swych wyborach i zawsze wiernym przyjętym zasadom. Korzystałam wielokrotnie z jego rad i wsparcia nie tylko w sprawach badawczych, ale także innych, związanych z moją działalnością w środowisku.

Można też mówić – jak sądzę – o mistrzach i autorytetach oddziałujących pośrednio, przez lektury i publikacje. Tu sytuacja była dynamiczna, może więc wspomnę jedynie o mojej trwającej od dłuższego czasu fascynacji hermeneutyką, w szczególności Paula Ricoeura i Hansa-Georga Gadamera, z różnych powodów bardzo mi bliskich.

Spotkanie emanujące życiową i profesjonalną mądrością i otwartą życzliwością mistrza, bezpośredni z nim kontakt, stawiane wymagania oraz wskazówki i rady, a także obserwowanie jego pracy i osoby – wszystko to niezbywalne czynniki dorastania intelektualnego i rozwoju badawczego młodego adepta nauki. To także wielki dar losu, który trzeba zawsze zachować we wdzięcznej pamięci. Pozwala on uniknąć niepowodzeń i rozczarowań, ale uczy też pokory i umiejętności dostrzegania własnych potknięć i przezwycięzania niedoskonałości. Boleję nad tym, że w obecnej sytuacji nauki kwestia relacji mistrz – uczeń nie jest dostatecznie rozumiana i doceniana.

**M.A.: Historyk literatury zazwyczaj kojarzy się z samotnikiem, mozolnie studiującym opasłe tomy w zaciszu biblioteki, wytrwale pracującym – jak biolog w laboratorium – nad kolejnym artykułem. Pani Profesor często jednak podkreśla, jak wielką rolę w pracy badacza literatury odgrywa jego środowisko, otoczenie, możliwość interakcji z innymi...**

T.K.: Rzeczywiście, taka postawa ukształtowała się już u początku mojej drogi naukowej. Rozpoczynałam ją właśnie w zespole uczniów i współpracowników profesora Kazimierza Budzyka, wspólnie pracującym nad zarysowanym przezeń projektem badawczym. Trudno przecenić korzyści, jakie płynęły z funkcjonowania w takim środowisku – zróżnicowanym, skupiającym wyraziste indywidualności, ale zarazem skoncentrowanym na wspólnych celach. Jak już wspomniałam, nasze prace były poddawane zbiorowej dyskusji, która niekiedy bywała ostra, ale nigdy nieprzyjazna czy niemerytoryczna, przeciwnie – zawsze pomocna, cenna, rozwijająca, inspirująca. Uczestnictwo samego profesora, a także profesor Marii Renaty Mayenowej czy zapraszanych profesorów językoznawców, w seminariach prowadzonych dla tej grupy służyło poszerzaniu wiedzy z dziedzin, którymi poszczególne osoby bezpośrednio się nie zajmowały, a była ona potrzebna i poszerzała horyzonty. Wszystkim prowadzącym i uczestnikom tych spotkań zawdzięczam bardzo wiele i zachowuję ich we wdzięcznej pamięci.

Inną formą zbiorowego budowania warsztatów naukowych i prezentacji wyników stały się też organizowane z inicjatywy profesora Budzyka ogólnopolskie konferencje teoretycznoliterackie młodych (ówcześnie) pracowników naukowych polonistyki. Służyły one nie tylko wspólnemu wypracowywaniu formuły nowoczesnej humanistyki, ale też integrowały środowisko, pozwalały uczestnikom wzajemnie się poznać, a często także zaprzyjaźnić, co ułatwiało współpracę i dawało poczucie bliskości osób podobnie widzących przedmiot swojego zainteresowania. To było bardzo ważne doświadczenie. Dlatego w czasach późniejszych, kiedy dane mi było podjąć odpowiedzialność za różne instytucje życia naukowego, zawsze starałam się o zespołowy charakter działań, o dobre relacje osobowe między pracownikami wydziału, katedry czy pracowni, o efektywną współpracę i wspólne poczucie odpowiedzialności za wykonywane zadania. Taka organizacja działań nie jest zagrożeniem dla wybitnych indywidualności, przeciwnie, pozwala im niejako „zabłysnąć” w oczach kolegów, realizować się w roli inspiratorów, a często projektodawców rozwiązań twórczo rozwijających pracę, co zawsze spotyka się z uznaniem zespołu. Wszystkim natomiast daje silniejszą motywację i utwierdza poczucie sensowności wspólnie realizowanych działań, a poza tym buduje zwyczajną ludzką atmosferę współbycia, wzajemnego szacunku, bezinteresowności, życzliwości, niezbędnej każdemu jak powietrze.

Ale godziny samotnej pracy w bibliotece, w świetle lampy własnego biurka czy ciszy pokoju, są też niezbędne. Niezastąpione, aby przemyśleć i uwewnętrznić to wszystko, co płynie z zewnątrz, zarówno z czytanych książek, jak i relacji z innymi. A to potrzebne jest nie tylko historykowi literatury.

**M.A.: W debacie publicznej niezmiennie od kilku lat dominuje wymóg użyteczności nauki. Szczególnie deprecjonuje się przy tym nauki humanistyczne, i nie jest to przekonanie tak zwanych zwykłych ludzi, lecz także – a może przede wszystkim – osób wyznaczających naukowe i społeczne priorytety. Jaki jest stosunek Pani Profesor do tej sprawy?**

**T.K.:** Wypowiadałam się na ten temat już wiele razy i trochę już jestem zniechęcona i zmęczona nieustannym powtarzaniem tego, co wydaje się oczywiste dla każdego myślącego człowieka. Ostatnia moja szersza wypowiedź na ten temat znajduje się w księdze materiałów Kongresu Dydaktyki Polonistycznej, który odbył się we Krakowie w 2013 roku<sup>2</sup>. Mówię tam między innymi o tym, że humaniści są w przestrzeni publicznej jedynymi i niezastąpionymi ekspertami w trzech dziedzinach. Są to: język jako narzędzie komunikowania się w życiu zbiorowym i prywatnym; tradycja jako podstawa więzi, bytowego zakorzenienia i poczucia tożsamości osobowej i wspólnotowej; refleksja nad sferą wartości jako busoli i kierunkowskazu – wybieranych w sposób świadomy motywacji każdego wyboru. Bez nieustannego doskonalenia tych dziedzin poprzez poszerzanie profesjonalnej i powszechnej wiedzy o nich, inicjowanie i prowadzenie refleksji, a nawet debaty nad nimi, nie może sensownie funkcjonować żadne społeczeństwo ludzi cywilizowanych. Nie trzeba być bardzo spostrzegawczym, żeby zauważyć, że dokonująca się na różne sposoby i w różnych miejscach marginalizacja humanistyki poczyniła już znaczne spustoszenia we wszystkich tych sferach. Przywrócenie w nich równowagi i odbudowanie ich miejsca w życiu zbiorowym jest możliwe tylko poprzez uznanie przez czynniki kierujące życiem społecznym autorytetu humanistów w tej dziedzinie, przyjęcie do wiadomości, że to nie osoby przypadkowe i niekompetentne, ale właśnie

<sup>2</sup> T. Kostkiewiczowa, *Czy świat potrzebuje humanistów?*, [w:] *Polonistyka dziś – kształcenie dla jutra*, t. 1, red. K. Biedrzycki, W. Bobiński, A. Janus-Sitarz, R. Przybylska, współpraca A. Kania, E. Strawa, Kraków 2014, s. 25-31 (przyp. red.).

oni, jako eksperci, winni mieć głos decydujący w tych fundamentalnych dla funkcjonowania zbiorowości kwestiach. Niezbędne jest stworzenie humanistom warunków i możliwości do pełnienia funkcji eksperckiej, umożliwienie im pracy nad naprawą tego, co zostało zaprzepaszczone, przede wszystkim w dziedzinie edukacji, oraz budowanie społecznego zrozumienia dla tego, co jest zadaniem humanisty, uznanie jego kompetencji i społecznego autorytetu. Duża rola przypada w tym samemu środowisku humanistycznemu, które powinno także usilnie działać na rzecz spełnienia tych warunków.

**M.A.: Niezwykle ważną rolę w działalności Pani Profesor zajmuje dydaktyka. Wbrew pozorom, nieczęste to połączenie – wybitny badacz, który niezwykle wielką wagę przykłada także do swoistej misji dydaktycznej i bardzo użytecznej, czy nawet służebnej, roli wyników swoich dociekań dla społeczeństwa. A sądzę, że w ten sposób można określić działalność Pani Profesor na tym polu. Czy od zawsze widziała Pani kształcenie i edukację jako ważny element swojej pracy? Jak to się zaczęło? Dlaczego było to takie ważne?**

**T.K.:** Jak już wspomniałam, jako małe dziecko konsekwentnie deklarowałam, że chcę być nauczycielką. Skąd to się wzięło? Myślę, że może z mojej sytuacji w dzieciństwie. Przez pierwszych niespełna dziesięć lat życia, w czasie wojny i okupacji żyłam w miejscu dość oddalonym od ludzi, nie miałam rodzeństwa ani kontaktów z rówieśnikami, przebywałam jedynie z rodzicami. Mama moja, która dość wcześnie zaczęła uczyć mnie materiału szkolnego (na terenie Rzeszy, gdzie mieszkaliśmy, nie było szkół polskich, a nauka polskich dzieci była surowo zabroniona), była dla mnie jedynym obserwowalnym uosobieniem roli kobiety. Być może chciałam zachowywać się jak ona? Może podświadomie pragnęłam szerszych kontaktów z rówieśnikami, a także odczuwałam potrzebę dzielenia się z innymi swymi wrażeniami, wymiany myśli i mówienia o tym, co mnie poruszyło i co poznałam? Znałam tylko jeden sposób spełnienia tych utajonych pragnień: uczenie drugiej osoby.

Z biegiem czasu sytuacja stawała się coraz bardziej oczywista. Przemawiały do mnie postaci „siłaczek”, mądrych pań będących autorytetem dla uczniów, idealistycznych Magdalen Brzeskich i bezdomnych Joann, osób poświęcających się studiom, nauce i innym ludziom. Wybór studiów polonistycznych (trochę wbrew planom rodziców, którzy chcieli

dla mnie bardziej „praktycznego” zawodu) był tylko prostą konsekwencją tych wyobrażeń. Szansa, jaką dał mi kontakt z profesorem Budzykiem i zatrudnienie w uniwersyteckiej Katedrze Teorii Literatury, była spełnieniem marzeń. Rozpoczynałam jednak dydaktykę na polonistyce (pierwsze były ćwiczenia z poetyki) zupełnie nieprzygotowana do takiego zadania, mozolnie zdobywałam więc doświadczenie, któremu towarzyszył wzrastający zapał i radość. Kontakt ze studentami, prowadzenie zajęć, szczególnie typu seminaryjnego i konwersacyjnego, od zawsze było dla mnie ogromnie ważne. Otwierało możliwość dialogu, obserwowania sposobów myślenia młodych ludzi, wskazywania im dróg i sposobów doskonalenia umysłów, zdobywania wiedzy, rozwoju intelektualnego i osobowego. Obserwacja tego rozwoju i dostrzeganie jego efektów to najwspanialsze przeżycie, jakie daje dydaktyka. Nic tak nie cieszy, jak sukcesy uczniów, zarówno pozostające w polu obserwacji nauczyciela, jak i późniejsze, o których niejednokrotnie dowiadujemy się z gazet czy książek. Dotyczy to zresztą wszystkich poziomów kształcenia. Rozmawiam często z moimi koleżankami ze studiów uczącymi w szkołach podstawowych i liceach, które odbierają to tak samo.

Proces dydaktyczny jest jednak zawsze (a z pewnością powinien być) relacją o oddziaływaniu dwustronnym. Dla nauczyciela akademickiego prowadzenie zajęć to czynność wielorako mobilizująca i rozwijająca również jego samego. Wymaga nie tylko – co jest oczywiste – starannego przygotowania, które często, obok spożytkowania na zajęciach, skutkuje nowymi spostrzeżeniami, pomysłami, a nawet publikacjami, ale już sam dialog ze słuchaczami jest intelektualnie owocny, a nawet niezbędny. Pozwala on na gorąco weryfikować jasność i konsekwencję własnego myślenia, zrozumiałość koncepcji, zaś studenckie spostrzeżenia i uwagi niejednokrotnie odsłaniają niedostrzegane wcześniej aspekty spraw, otwierają przysłowiowe „klapki” i pozwalają lepiej widzieć, zrozumieć interesujące problemy. Studenci aktywni, autentycznie zainteresowani przedmiotem, mają także udział w naukowym wzroście swych wykładowców – i to jest piękne. Sama pamiętam sytuacje, w których czyjaś wypowiedź na seminarium stawała się jakby błyskiem, swoistym katalizatorem dokonującym krystalizacji rozproszonych dotąd, niewyraźnych intuicji.

Moje życie układało się tak, że nie zawsze mogłam być w pełni aktywna w dydaktyce akademickiej. Częściowo było to rekompensowane pracą z bardziej zaawansowanymi badaczami przygotowującymi doktoraty,

ale atmosfera sali seminaryjnej, widok skupionych twarzy kilkudziesięciu osób, wchodzenie z nimi w zbiorowy dialog – wszystko to są niezastąpione doświadczenia, które powodują wzrost aktywności, mobilizują i radują. W jakiś sposób z tej potrzeby wyrastało moje zaangażowanie w prace przy Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego. Szczęśliwie się złożyło, że pod koniec mojej aktywności zawodowej dane mi było jeszcze przez kilkanaście lat prowadzić różne zajęcia na nowo powstałym Wydziale Nauk Humanistycznych UKSW, więc teraz znów – już z oddali – mogę obserwować wzrost naukowy moich dawnych studentów z tego środowiska i cieszyć się ich licznymi i spektakularnymi osiągnięciami.

Dziękuję, Pani Magdo, za wysłuchanie tych bardzo osobistych czasem wspomnień, spostrzeżeń i opinii. Przepraszam też, że tak okropnie się rozgadałam. Wywiad miał być krótki, a rozrósł się niepokojąco. Nie miałam takiego zamiaru, ale skłonił mnie do tego typ Pani pytań – bardzo zasadniczych i obszernie zakrojonych. A poza tym – jak Pani powiedziała na początku – pewne momenty w życiu skłaniają do rozleglejszych refleksji, niech to więc będzie potraktowane jako nieco sprowokowany przez tę sytuację i wymuszony przywilej gadatliwej staruszki. Ale nie chciałabym, żeby był on przykładem znanego powiedzenia: „Wiecie? No to posłuchajcie!”



Teresa Kostkiewiczowa w rozmowach z Magdaleną Partyką, Wydawnictwo IBL (w koedycji z Wydawnictwem Naukowym UKSW), Warszawa 2016.